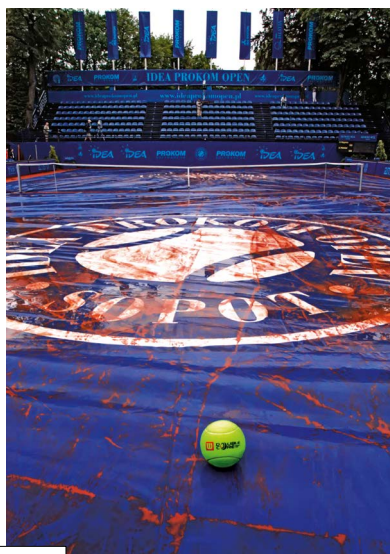




21

Mecenas dyżurny



28

Sopocki klub tenisa
biznesowego

46

Brexit: jak wyjść
z labiryntu

Temat tygodnia

- 12 Marcin Kołodziejczyk
Zdrada Kałuży

Polityka

- 15 Rafał Kalukin **Powrót Tuska**
18 Ryszard Łuczyn, Wojciech Szacki
Raczkująca prawica niepisowska
21 Malwina Dziedzic
Ewolucja Giertycha
26 Anna Dąbrowska
Polsat skręca w prawo

Spółeczeństwo

- 28 Grzegorz Rzeczkowski
Wojna o słynne sopockie korty
32 Juliusz Ćwieluch
Cyfryzacja po polsku
35 Gen. **Mirosław Różański**,
były dowódca generalny,
o tym, jak politycy poddają Polskę Rosji

Rynek

- 38 Adam Grzeszak
Węgiel parzy
42 Cezary Kowanda
Obywatelstwo na sprzedaż

Świat

- 46 Marek Rybarczyk WLK. BRYTANIA
Brexit: drugie referendum?

- 49 Agnieszka Zagner IRAK
**Obozowe życie uchodźców
w Kurdystanie**

- 52 Marek Ostrowski
Ukryty skarb Kaddafiego

Historia

- 54 Sławomir Leśniewski
Mit Somosierry
57 Bogumił Luft
**Rumunia też
ma sto lat**

Nauka

- 60 Agnieszka Krzemińska
**Miecze: śmiertelność,
sprawiedliwe, magiczne**
63 Andrzej Jasiński
Recepta na innowacje
64 Dr **Mateusz Czesław Strzelecki**,
laureat Nagrody Naukowej POLITYKI,
opowiada o polskich
badaniach polarnych

Ludzie i style

- 66 Aleksandra Żelazińska
**Największa ambona Kościoła
– YouTube**
69 Marcin Piątek
**Bogdan Wenta: od szczypiornisty
do prezydenta Kiel**

Kultura

- 78 Tomasz Targański
**„Drogi wolności”,
czyli historia Polski w odcinkach**
82 Rozmowa z reżyserem
Krzysztofem Zanussi
o jego nowym filmie „Eter”,
wierze i naturze zła
85 Marcin Zwierchowski
**George R.R. Martin,
kronikarz własnego świata**
86 Olaf Szewczyk
Jasna strona gier wideo
90 O sztuce w przestrzeni publicznej
i życiu streetartowca opowiada
rzeźbiarz **Tomasz Górnicki**
93 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
94 Janusz Wróblewski **Bernardo**
Bertolucci – ostatni taki skandalista

Na własne oczy

- 100 Juliusz Ćwieluch, fotografie Maga
Sokalska **Śląsk: pękające domy**

Stałe rubryki

- 6 Mleczko i Mizerski
- 7 Ludzie i wydarzenia
- 44 Przegląd informacji rynkowych
- 74 Afisz • 95 Passent • 96 Hartman
- 97 Do i od redakcji • 99 Fusy
- 106 Polityka i obyczaj

PRENUMERATA PAKIETOWA: WYDANIE PAPIEROWE I CYFROWE W JEDNYM

Drodzy Czytelnicy, docierają do nas sygnały o problemach z nabyciem POLITYKI w kioskach i punktach sprzedaży obsługiwanych przez Ruch SA. Sytuacja ma dotyczyć głównie mniejszych miejscowości. Jeśli spotkali się Państwo z taką sytuacją, prosimy o sygnał na adres dystribucja@polityka.pl lub o kontakt telefoniczny 22 451 61 65.

Dla wszystkich z Państwa, którzy chcą mieć pewność zakupu POLITYKI, przygotowaliśmy specjalną ofertę prenumeraty pakietowej.
Odwiedź stronę <https://sklep.polityka.pl/pakietowa>. Zadzwoń: +48 672 108 630. To gwarancja otrzymania zarówno każdego drukowanego wydania POLITYKI, jak również dostępu do jego wersji cyfrowej już od wtorkowego popołudnia.



ROLEX DEEPSEA

Zdobywca morskich głębin, zdolny do pracy nawet 3900 metrów pod wodą.
Tak głęboko nie dotarł jeszcze żaden pływacz.
Wskazuje czas. Wyznacza historię.



OYSTER PERPETUAL ROLEX DEEPSEA

W.KRUK
1 8 4 0

Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Galeria Mokotów, ul. Wołoska 12, Warszawa, tel. 782-666-007
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Plac Trzech Krzyży 8, Warszawa, tel. 607-664-724
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Plac Konstytucji 6, Warszawa, tel. 661-980-576
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), CH Silesia, ul. Chorzowska 111, Katowice, tel. 783-782-720
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Galeria Bałtycka, Al. Grunwaldzka 141, Gdańsk, tel. 661-980-727
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), WOC Lotnisko Okęcie, ul. Żwirki i Wigury 1, Warszawa, tel. 661-980-575
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Galeria Krakowska, ul. Pawia 5, Kraków, tel. 691-360-541
Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Poznań, ul. Pieszeńska 1, Poznań, tel. 691-360-542

Kup książkę



GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

W imię ojca i syna

Ministrowi koordynatorowi służb specjalnych Mariuszowi Kamińskiemu zarzucono, że pomógł załatwić synowi dobrze płatną pracę w Banku Światowym. W odpowiedzi rzeczniczka rządu Joanna Kopcińska oświadczyła, że „dzieci polityków, nasze dzieci, są młodymi, wykształconymi, znającymi języki ludźmi, którzy sami decydują o wyborze własnej drogi życiowej”. Te dzieci muszą gdzieś pracować, a ponieważ są zdolne i inteligentne, za dużego wyboru, niestety, nie mają. Wiadomo, że wykształcone dziecko polityka partii rządzącej nie pójdzie do pracy, którą może wykonać mniej rozgarnięte dziecko kogoś innego, bo jakby poszło, pokazałoby, że wcale nie jest takie inteligentne.

Powiedzmy sobie jasno: gdyby wszyscy Polacy byli dziećmi polityków partii rządzącej, Polska rozwijałaby się dynamicznie. Szkoda, że obecni politycy partii rządzącej nie są swoimi dziećmi, bo byłiby bardziej kompetentni, inteligentni i lepiej wykształceni. Nie wykluczam, że pani Kopcińska byłaby bardziej zabawna i błyskotliwa, będąc dzieckiem jakiegoś polityka PiS. Uważam też, że gdyby minister Błaszczak czy marszałek Kuchciński, zamiast być sobą, byli swoimi synami, międzynarodowy wizerunek Polski zyskałby na tym.

Gdybyśmy wszyscy byli dziećmi polityków partii rządzącej, moglibyśmy zaspokoić nasze ambicje oraz rosnące potrzeby



materialne, a rodzice byłiby z nas dumni, bo nie musielibyśmy im nic zawdzięczać. W Polsce złożonej z dzieci polityków partii rządzącej nie istniałoby bezrobocie ani osoby życiowo niezaradne, którym trzeba coś załatwiać. Wszyscy posiadaliby płynną znajomość języków obcych oraz pracę w Banku Światowym, w NBP albo w jakiejś agencji czy radzie nadzorczej. Dzięki temu nie dochodziłoby do nepotyzmu, kolesiostwa, a w codziennych kontaktach niepotrzebne byłyby szumidła i dyktafony.

Wielu młodych Polaków niebędących dziećmi polityków partii rządzącej dotkniętych jest dziś brakiem wykształcenia, frustracją i koniecznością emigracji zarobkowej. Niektórzy robią wprawdzie błyskotliwe kariery, ale ich kulisy są bardzo niejasne. O Kacprze Kamińskim wiadomo, że pracę w Banku Światowym zawdzięcza temu, że będąc synem ważnego polityka PiS, jest osobą inteligentną, wykształconą i kompetentną. Niestety, okoliczności karier wielu polityków opozycji nie znamy, bo o ich rodzicach niewiele wiadomo. Zbadania wymaga m.in. przypadek Ryszarda Petru, który zanim został politykiem opozycji, był asystentem i doradcą Leszka Balcerowicza, a następnie, podobnie jak młody Kamiński, dostał pracę w Banku Światowym, chociaż Balcerowicz nie jest ani jego ojcem, ani nikim z rodziny.

Trzecia tura wyborów



Mariusz Janicki

Właśnie powstają koalicje w sejmikach wojewódzkich, także na niższych szczeblach, w powiatach, miastach; wybierane są lokalne władze. Zaraz po drugiej turze ostatniej elekcji na wielkie łowy wyruszył PiS, z tęczką pełną stanowisk samorządowych, innych intratnych posad i wszelkich obietnic. Nazywano to elegancko „negocjacjami”. W trakcie zawiązywania sojuszy opozycyjni politycy ciężko walczyli, aby utrzymać lojalność niektórych swoich wybranych do rad kandydatów, którzy zdawali się już ulegać namowom obozu rządzącego. Jednak nie do końca upilnowali. Radny sejmiku śląskiego z ramienia Nowoczesnej Wojciech Kałuża przystał do PiS i własnoręcznie zmienił wynik wyborów: było 9 do 7 województw na korzyść opozycji, jest remis 8 do 8. Kałuża startował z „jedyneką” z listy Koalicji Obywatelskiej, zdobył ponad 25 tys. głosów, miał rekomendację posłów opozycji. Ale postanowił to wszystko przekreślić i sprzeniewierzyć. Jego nazwisko stanowczo nie powinno zostać zapomniane. Nawet na standardy naszej nieświeżej polityki to nowy wzorec cynizmu i bezwstydu (więcej o radnym Kałuży na s. 12).

Kłusownictwo obozu władzy jest bezpiecznie nazywane „korupcją polityczną”. Człon „polityczna” ma zapewne łagodzić brzydkie słowo „korupcja”, które wprost oznacza przestępstwo. Jeden z wysokich działaczy PiS Adam Lipiński stwierdził ostatnio, że w proponowaniu stanowisk za poparcie nie ma niczego złego, to niejako rutynowy polityczny instrument. Można powiedzieć, że coś o tym wie, wszak to on w 2007 r. odwiedził Renatę Beger z Samoobrony w jej pokoju w sejmowym hotelu i namawiał na zmianę politycznych barw, snując przy tym opowieści o rozmaitych możliwościach, jakie przed posłanką stoją. Wtedy Jarosław Kaczyński przeprosił, co prawda tylko tych, „którzy poczuli się urażeni”. Dzisiaj już nawet tak nie przeprasza.

Warto się zastanowić, czym to „pozyskiwanie poparcia” za stanowiska różni się od zwyczajnej korupcji. Wszak korupcja polega właśnie na nakłanianiu osoby pełniącej funkcję publiczną do określonego zachowania w związku ze sprawowaną funkcją (w tym przypadku jest to odpowiednie głosowanie po myśli korumpującego, wstąpienie do określonej koalicji itp.) w zamian za korzyści majątkowe (prestiżowe stanowisko, wysoko płatna posada, nie do osiągnięcia inną drogą – to bez wątpienia takie korzyści). Nie widać zatem większej różnicy pomiędzy korupcją sensu stricto a korupcją polityczną. Może tylko taką, że w tym ostatnim przypadku płaci się nie ze swoich, tylko z publicznych środków, ale to akurat okoliczność obciążająca, a nie łagodząca.

Lokalni politycy opozycji po wyborach w paru miejscach łwyzwali organy państwa do zastosowania tzw. tarczy antykorupcyjnej albo do podjęcia stosownych działań ze strony prokuratury. Oczywiście bezskutecznie. Ta „trzecia tura” wyborów, zmieniająca wynik demokratycznych decyzji wyborców, jest

naruszeniem demokracji i praw obywatelskich. Dlatego w ramach porządkowania spraw po ewentualnej utracie rządów przez PiS dzisiejsza opozycja powinna zaliczyć „korupcję polityczną” – a przynajmniej jej najbardziej ewidentne przejawy, także już samą propozycję – do kategorii przestępstw i dopisać ją w wyraźnej formule do Kodeksu karnego. Z pełną świadomością, że także ona nie będzie już mogła z tych metod korzystać, co się jej przecież zdarzało. Ale to jest jedna z tych spraw, gdzie nie powinno być „tak jak było”. Oczywiście ma to sens tylko wtedy, kiedy szef prokuratorów nie jest członkiem rządu, w którego imieniu składane są takie niemoralne propozycje.

Jest jeszcze kwestia samych ludzi kuszonych, aby porzucili formacje, przy których poparciem zdobyli mandaty. Nie dość, że zdradzili swoich wyborców, którzy im zaufali, również partyjnych kolegów to jeszcze można było usłyszeć żenujące tłumaczenia. Że polityka regionalna to co innego niż ogólnokrajowa. Że „trzeba szukać dobrych rozwiązań dla mieszkańców”, „łączyć, nie dzielić”, że więcej można uzyskać „na współpracy z rządem niż na konfrontacji”. Że liczy się „skuteczność”, jak stwierdził radny Kałuża. Ale ludzie głosowali na opozycję świadomie, wiedząc, co oznacza ten wybór. Widocznie ważniejszy dla nich był sprzeciw wobec polityki obozu władzy, wobec tego, co robi on z systemem państwa, niż rządowe obietnice. Może nie chcieli, aby jego reprezentanci wprowadzali myślenie i metody znane z polityki ogólnopolskiej do polityki lokalnej. I nie życzą sobie, aby ci, na których głosowali, decydowali potem tak jaskrawo wbrew poglądom swoich mocodawców, którymi są w pierwszej kolejności wyborcy. Korupcja polityczna to prosta droga do tego, aby frekwencja w wyborach, i tak już w Polsce dramatycznie niska, była jeszcze marniejsza.

Swoją drogą, można się dziwić, że partie opozycyjne przepuściły przez swoje sito na listy wyborcze tyle osób o niepewnej lojalności. To zresztą szersze zjawisko – w parlamencie także całkiem spora liczba posłów i senatorów z opozycji zmieniła zdanie i polityczne barwy. A przecież listy, zwłaszcza do sejmików, także do Sejmu, to w końcu nie aż tak wielu kandydatów. Wydawałoby się zatem, że można znaleźć dość ludzi o twardszym kręgosłupie, bardziej ideowych, mniej pazernych na apanaże i stanowiska, na miraż władzy. Wybory samorządowe są nauczką dla opozycji, bo widać, że rządzący nie cofną się przed niczym, w przekonaniu, że nie ma złych metod we wprowadzaniu „dobrej zmiany”. Będzie to miało szczególne znaczenie w przyszłym roku, po wyborach parlamentarnych, kiedy to PiS znowu może wyruszyć „na zakupy”. Koszty personalnych pomyłek okażą się wtedy znacznie wyższe. Od czujności opozycji będzie zależało, czy uda się tej partii coś, a raczej kogoś, kupić.

Jan Koza



© JAN KOZA



Stać i walić

W mocy opozycji i Naczelnego Sądu Administracyjnego jest zdobycie niezbitego dowodu, że nowa KRS to grupa pisowskich popychli, które popychają do sądów powszechnych i Sądu Najwyższego podpopychła.

W „Wojnie peloponeskiej” Tukidydes pisze, że „Lacedemonczycy sprawowali hegemonię nad swoimi sprzymierzeńcami, nie żądając od nich daniny. Starali się jedynie o to, aby zgodnie z ich interesem ustrój u sprzymierzeńców był oligarchiczny”. Ateńczykom zależało głównie na daninach na utrzymanie i rozbudowę floty, ale jeśli któryś ze sprzymierzeńców się ociągał, to wysyłali triery, instalowali u niego garnizon i kazali powołać do władzy demokratów. Widać z tego, że w wewnętrznych konfliktach politycznych możliwość odwołania się do jakiejś „zagranicy” należy do zasobów skonfliktowanych stron. Tak było nie tylko w starożytnej Grecji, ale i w Europie, od czasu wojen religijnych, przez Święte Przymierze, po okres zimnej wojny.

Dziś w Polsce ścierają się liberalni konstytucjonaliści (anty-PiS), którzy mają za sobą Unię Europejską, z narodowo-demokratycznymi suwerenistami (PiS) popieranymi przez Węgry, niestanowiące przemożnej siły, co też przesądziło o ostatniej porażce obozu władzy.

Z wycięstwo opozycji w sprawie I Prezes Sądu Najwyższego i „starzych”, zmuszonych do odejścia w stan spoczynku, sędziów jest ważne, ale ma charakter cząstkowy. System wymiaru sprawiedliwości nadal pozostaje przez PiS przeorany, ale wydaje się, że po odbiciu przyczółka, jakim jest „stara” kadra Sądu Najwyższego, liberalni konstytucjonaliści uzyskali podstawę do kontrofensywy i przejścia z rąk demokratyczno-narodowych suwerenistów dwóch strategicznie kluczowych pozycji ryglowych na froncie walki: Krajowej Rady Sądownictwa i Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Warunkiem powodzenia takiej kontrofensywy jest przemyślenie pozytywnego doświadczenia wspomnianego cząstkowego zwycięstwa i doprowadzenie do synergii działań „zagranicy” (instytucje wspólnotowe Unii Europejskiej, Rada Europy, Komisja Wenecka), „nadzwyczajnej kasty” (Sąd Najwyższy, Najwyższy Sąd Administracyjny, stowarzyszenia i zgromadzenia sędziowskie), „totalsów” (antypisowska opozycja parlamentarna) oraz „ulicy” (manifestacje), na które w zimie nie za bardzo można liczyć. Ale po zimie nie tylko przychodzi wiosna, a wraz z nią dni ciepłe, ale też wybory do Parlamentu Europejskiego, kiedy to ulica może się wybrać do urn wyborczych.

Tym, do czego należy dążyć, jest skuteczne politycznie zakwestionowanie Krajowej Rady Sądownictwa w wymiarze europejskim, co oznacza kolejny wniosek Komisji do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej oraz sparaliżowanie tu w Polsce Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego, która już się zabiera do wyrokowania w sprawach sędziów, którzy „dobrej zmiany” nie przyjęli z należytym entuzjazmem.

Możliwość sparaliżowania prac Izby Dyscyplinarnej dał I Prezes Sądu Najwyższego Naczelnny Sąd Administracyjny, który chytrze skierował do TSUE pytania prejudycjalne, w tym pytanie o wątpliwości dotyczące zasad wyboru członków KRS. Oczywiście natychmiast pojawiła się kwestia, czy do czasu odpowiedzi TSUE na te pytania Izba Dyscyplinarna SN, wyłoniona w całości przez pisowską KRS, może orzekać? Pytany o to rzecznik prasowy SN

sędzia Laskowski udzielił niepokojącej odpowiedzi: „Faktycznie, może i byłoby logiczne, gdyby obie te izby zawiesiły pracę. Jednak w praktyce byłoby to niesłychanie trudne do przeprowadzenia. Bo orzeczenie TSUE może zapaść nawet za półtora roku, więc wszyscy ci sędziowie mieliby przez ten czas nic nie robić i jednocześnie pobierać wynagrodzenie? (...) Ja optowałbym jednak za tym, by dopuścić tych sędziów do orzekania, licząc się jednocześnie z możliwymi skutkami prawnymi w przyszłości”.

Jednak umożliwienie orzekania Izby Dyscyplinarnej załame *esprit de corps* „nadzwyczajnej kasty”. Okaże się bowiem wtedy, że to sędziowie sądów powszechnych ryzykowali swoją pracę, pensję i kariery, by obronić w imię niezawisłości sądów „starą” kadre Sądu Najwyższego, lejąc krew, darli się na mury niezdobytej fortecy, by odbić ją z rąk pisowszczyków. A kiedy „stara” kadra rozgościła się ponownie w zamku i w dodatku uzyskała żelazną ochronę „zagranicy” (Unii Europejskiej), wydała sędziowskie regimenty na rzeź opryczninie Ziobry. Jeśli tak się stanie, to zapomnijmy o niezawisłości sądów w Polsce – i za rządów PiS, i po nich – bo żaden zdrowy na umyśle sędzia nic nigdy w jej obronie długo nie zaryzykuje. Taki jest wybór, przed którym stoi Małgorzata Gersdorf, a decyzję będzie musiała podjąć już niebawem.

Natomiast w mocy „totalsów” i Naczelnego Sądu Administracyjnego jest zdobycie niezbitego dowodu, że nowa KRS to grupa pisowskich popychli, które popychają do sądów powszechnych i Sądu Najwyższego podpopychła. Posłanka Kamila Gasiuk-Pihowicz przymyślnie zażądała od Kancelarii Sejmu list poparcie udzielanych przez sędziów kandydatom do KRS. Kancelaria odmówiła, a posłanka skierowała sprawę do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego, gdzie wygrała. Kancelaria odwołała się do NSA i posłanka czeka. Średnia na rozpatrzenie sprawy w NSA wynosi 14 miesięcy, ale to sąd ustala swoją wokandę i nic nie stoi na przeszkodzie, by rozprawę wyznaczył choćby na za tydzień. A czas ma tu znaczenie kluczowe, *periculum in mora*. Wszyscy podejrzewają, ale nikt nie dysponuje papierem, że poparcie sędziowskich kandydatom do KRS udzielała krzyżowo nieliczna grupka sędziów awansowanych przez ministra Ziobrę. Brzmi to prawdopodobnie, ale żelaznego dowodu nie ma. Jeśli się go uzyska, to droga do wniosku Komisji Europejskiej o uznanie ustawy o KRS za sprzeczną z traktatami europejskimi stanie szeroko otworem. Mogą się do tego także przyczynić „totalsi” w Parlamencie Europejskim, domagając się, by właściwa komisja PE i komisarz Timmermans zażądali od Kancelarii Sejmu lub ministra sprawiedliwości wspomnianych list poparcie. Nawet odmowa ze strony PiS będzie działała na rzecz postawienia przez PE i Komisję sprawy KRS na ostrzu noża jeszcze przed wyborami do Parlamentu Europejskiego.

W „Weselu” Stanisława Wyspiańskiego pada znana kwestia: „Choć co dadzą; ino te ciarachy tworde, trza by stoć i walić w morde”. Tę dyrektywę praktycznego rozumu politycznego wypowiedzianą ustami Panny Młodej dedykuję wszystkim walczącym o prawo i sprawiedliwość w Polsce.

KOMENTARZ

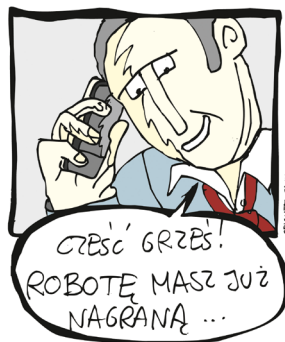
PiS zamiata i mataczy

Joanna Solska



Obsadzenie zwolnionego wskutek afery fotela szefa Komisji Nadzoru Finansowego nie uspokoiło Polaków, zaniepokojonych o bezpieczeństwo ulokowanych w bankach oszczędności, nie zamiotło afery pod dywan. Nie potwierdziło również, wbrew zapewnieniom rzeczniczki rządu, „sprawności funkcjonowania nadzoru nad rynkiem finansowym”. Jest zaledwie przegrupowaniem w obozie władzy, która ciągle mataczy i ma nadzieję na wygaśnięcie afery. Każdego dnia dowiadujemy się jednak nowych szczegółów.

Najświeższy, podany przez „Gazetę Wyborczą”, mówi, że prokuratura nakaz przeszukania siedziby szefa KNF wydała CBA dopiero po opuszczeniu przez niego gabinetu, jakby celowo chciała mu umożliwić zniszczenie ewentualnych dowodów. Mimo że śledztwo w sprawie afery rozpoczęła już poprzedniego dnia. Wcześniej dowiedzieliśmy się, że syn koordynatora służb specjalnych Mariusza Kamińskiego, dzięki wstawiennictwu NBP, dostał świetnie płatną pracę w Banku Światowym. Mimo to mamy wierzyć, że Kamiński wyjaśni ewentualne związki Adama Glapińskiego z aferą KNF. Jeszcze wcześniej dowiedzieliśmy się, że Marek Chrzanowski, bohater afery, po przedstawieniu Leszkowi Czarneckiemu korupcyjnej propozycji (zatrudnienia wskazanego prawnika z wynagrodzeniem, według bankiera, 40 mln zł w ciągu trzech lat) udał się wraz z nim do Adama Glapińskiego, szefa NBP, mimo że KNF jest od banku centralnego całkowicie niezależna. Jeśli to nie świadczy o układzie na szczytach władzy, to czego jeszcze musielibyśmy się dowiedzieć? A jednak w tej sprawie PiS nie wyjaśnił niczego, po prostu przemilcza sprawę.



Czy nowy szef KNF, prof. Jacek Jastrzębski, jest lepszym gwarantem stabilności rynku finansowego niż jego poprzednik, też można wątpić. Jest profesorem nadzwyczajnym w Katedrze Prawa Cywilnego Wydziału Prawa i Administracji UW, ale to wciąż za mało, by uznać jego kompetencje jako nadzorcy całego rynku finansowego! Były za małe nawet do tego, by Zbigniew Jagiełło (prezes kontrolowanego przez państwo PKO BP i przyjaciel premiera Morawieckiego z lat młodości) awansował go na dyrektora departamentu prawnego banku, był tam tylko zastępcą. Gdzie gwarancje, że poradzi sobie z rozkołysanym systemem finansowym kraju, uspokoi ludzi, ustawiających się w kolejkach, na razie tylko pod bankami Leszka Czarneckiego? Czy nie będzie, jak jego poprzednik, tylko figurantem? Z tą różnicą, że Chrzanowski – na co wskazują wszystkie tropy – mógł być człowiekiem Adama Glapińskiego, a Jastrzębski będzie człowiekiem Mateusza Morawieckiego. Zmienia się więc osoby pociągające za sznurki w teatrze lalek, jakim najwyraźniej stała się Komisja Nadzoru Finansowego. Lecz ani sektor bankowy nie stał się bardziej bezpieczny, ani nasze w nim oszczędności. Przecież poprawka do prawa bankowego, na której tak zależało Chrzanowskiemu, nie przestała być procedowana i lada dzień stanie się obowiązującym prawem. Plan Zdzisława będzie mógł być wdrażany w każdym prywatnym banku, towarzystwie ubezpieczeniowym, firmie giełdowej... wszędzie. Bo nie jest prawdą, o czym próbuje nieudolnie zapewniać władza, że chodzi o możliwość przejścia przez bank państwowy każdego innego banku, będącego w kłopotach – żeby oszczędności klientów były bezpieczne. Taką możliwość daje również obecne prawo, co wykorzystano do ratowania bankrutujących SKOK. Naprawdę chodzi o to, żeby skok na prywatną własność można było wykonać nie tylko wtedy, kiedy bank już ma kłopoty, ale kiedy KNF uzna, że może je mieć w przyszłości! Więc jeśli nawet ich nie ma, to komisja ma nad nim tak wielką władzę, że może go w nie wpędzić.

Niezależność KNF jest potrzebna, by nie mogła tą władzą dla swoich celów manipulować politycy. Uznane przez cały rynek kompetencje prezesa są niezbędne, by instytucje finansowe, gospodarujące naszymi pieniędzmi, wierzyły, że kryteria oceny banków, które w jakiejś części są uznaniowe, nie będą naciągane na cel zrealizowania Planów Zdzisława. Żaden z tych warunków nie jest spełniony. Ta afery jest za duża, by mogła się zmieścić pod dywanem.

Macierewicz znów przegrywa

Antoni Macierewicz i jego przybocznicy przegrywają kolejne sądowe procesy z byłymi szefami Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Tymi, których Antoni Macierewicz jako minister obrony oraz Piotr Bączek jako szef SKW pozbawiali stanowisk, wyrzucali ze służby, degradowali, a nawet oskarżali o współpracę z rosyjskimi służbami. Zarzuty im stawiane nie wytrzymują w sądach konfrontacji z faktami. Wojewódzki Sąd Administracyjny uznał niedawno, że w przypadku dwóch oficerów szef SKW Piotr Bączek bezpodstawnie odebrał tzw. poświadczenia bezpieczeństwa dające dostęp do tajnych materiałów. Chodzi o mjr Magdalenę E., była zastępczynię dyrektora zarządu operacyjnego SKW, oraz płk. Krzysztofa Duszę, byłego wiceszefa

SKW i byłego szefa Centrum Eksperckiego Kontrwywiadu NATO. Instytucji, do której trzy lata temu, w środku nocy i w atmosferze skandalu, wdzierał się ówczesny rzecznik Macierewicza Bartłomiej Misiewicz. Decyzje sądu oznaczają, że oboje odzyskali dostęp do informacji niejawnych. – *Wyrok WSA potwierdza bezpodstawność oraz tendencyjność działań SKW* – podkreśla pełnomocnik oficerów mec. Antoni Kania-Sieniawski.

To niejedyny w ostatnim czasie wyrok sądów korzystny dla funkcjonariuszy SKW, a zarazem stawiający w złym świetle decyzje i motywacje Macierewicza oraz jego ludzi. Sąd administracyjny uchylał wcześniej postanowienia Piotra Bączka o degradacjach Duszy i mjr E. W obu sprawach SKW odwołało

się do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Kolejne trzy orzeczenia dotyczą gen. Piotra Pytla. Były szef SKW prawomocnie wygrał bezprecedensowy proces o zwrot jego osobistych rzeczy, które zaginęły podczas wejścia do CEK NATO. W maju warszawski Sąd Okręgowy nakazał MON i SKW solidarnie wypłacić generałowi 400 zł odszkodowania za czytnik Kindle, który zniknął z jego pokoju w CEK. Natomiast w lutym, a potem w październiku zapadły dwa orzeczenia uznające za bezzasadne zatrzymanie Pytla i zastosowanie wobec niego środków zapobiegawczych – dozoru policyjnego i zakazu opuszczania kraju. Dotyczyły one wydarzeń z grudnia 2017 r., gdy wojskowy prokurator z zaciągu Macierewicza postawił Pytłowi zarzut o współpracę z obcym wywiadem.

Bilans nie jest kompletny, bo toczą się kolejne sprawy – m.in. o wtargnięcie do CEK z podejrzeniem naruszenia prawa. GR



© LECH MAZURCZYK

Kryzys w Cieśninie

Rosyjski atak na ukraińskie okręty wojenne w Cieśninie Kerczeńskiej wywołał poruszenie: czy będzie nowa wojna w Europie, skoro Moskwa narusza prawo międzynarodowe? Zebrała się Rada Bezpieczeństwa ONZ, poparcie dla Ukrainy deklarują sąsiedzi, Warszawa, Wilno, Bukareszt, Tallin. Powróciła realna obawa, że Rosja znów zaatakuje, zechce odciąć Ukrainę od Morza Azowskiego i szczególnie ważnego dziś dla jej gospodarki portu w Mariupolu. Pozbawiony drogi morskiej ukraiński Donbas po prostu się udusi.

Szef niemieckiej dyplomacji oświadczył, że zdarzenia na Morzu Azowskim dowodzą, że konflikt w Donbasie należy zakończyć jak najszybciej. NATO wydało komunikat, że „Sojusz w pełni wspiera suwerenność Ukrainy i integralność terytorialną oraz prawa na jej wodach terytorialnych” i wzywa Rosję do nieograniczania dostępu do ukraińskich portów na Morzu Azowskim zgodnie z prawami międzynarodowymi. O dialog apelują Chiny. W Kijowie sytuacja pełnej mobilizacji. Szef ukraińskiego parlamentu Andrij Parubij

zwołał posiedzenie w sprawie wprowadzenia stanu wojennego na 60 dni, o co wnioskowało ukraińskie Biuro Bezpieczeństwa Narodowego, a prezydent Petro Poroszenko przychylił się do wniosku.

W Cieśninie Kerczeńskiej, łączącej Morze Azowskie i Czarne, gdzie rosyjska marynarka wojenna ostrzelała i zajęła trzy ukraińskie jednostki, a ich załogi zostały przez Rosjan zatrzymane, rannych zostało sześciu ukraińskich marynarzy: Rosjanie potwierdzają, że ranni przebywają w szpitalu, a ich stan jest stabilny. Kijów ogłosił stan alarmu dla wszystkich wojskowych sił morskich, co oznacza, że flota wojenna Ukrainy wychodzi z morza. Moskwa mówi tymczasem o prowokacji, naruszeniu granicy Federacji Rosyjskiej przez ukraińskie okręty wojenne, choć dotychczas takie jednostki przez Cieśninę Kerczeńską przepuszczała.

Po zajęciu Krymu Rosjanie wybudowali most przez Cieśninę Kerczeńską, dzięki któremu mają bezpośrednie połączenie z zaniekowanym terytorium, pozwalające ominąć terytorium Ukrainy. Most powstał w ekspresowym tempie, w ciągu dwóch lat, i dziś wiadomo, że może służyć nie tylko celom gospodarczym. Teraz Rosja może także zablokować Ukraińcom swobodne korzystanie z drogi morskiej. Tego właśnie spróbowano, korzystając z faktu, że w Waszyngtonie trwał weekend Święta Dziękczynienia, a Bruksela zajęta była mocno sprawą brexitu. Putin, którego popularność gwałtownie spadła, a w kraju narastają protesty wobec jego wszechwładzy, potrzebował wzmocnienia, więc zagrał sprawdzoną nacjonalistyczną kartą. Podobnie było, kiedy zajmował Krym, wtedy jego rankingi osiągnęły niespotykane rekordy.

Sytuacja na Ukrainie jest szczególna, bo w marcu mają się odbyć wybory prezydenckie, a kampania przedwyborcza trwa już na dobre. Ogłoszenie stanu wojennego może odsunąć termin wyborów i przedłużyć władzę Poroszenki. Czy konflikt z Rosją miałby więc zostać użyty także dla celów wewnętrznych? Kiedy zamykaliśmy numer, na kijowskim Majdanie zbierali się ochotnicy i weterani, wyrażając poparcie dla Poroszenki. Stan wojenny dawałby głowie państwa nowe uprawnienia, choć Poroszenko zapewnia, że będzie służyć jedynie obronie obywateli Ukrainy.

JAGIENKA WILCZAK

Crash test Ghosna

Czy rozpadnie się największe imperium samochodowe świata?

Kiedy 64-letni **Carlos Ghosn** został zatrzymany na lotnisku w Tokio, pierwszym odruchem było niedowierzanie. Gigant przemysłu, wizjoner motoryzacji, charyzmatyczny bogacz jest tu postacią kultową, odkąd 20 lat temu uratował od bankructwa Nissana. Niedawno w plebiscycie „kto powinien rządzić Japonią” był na 7. miejscu. Proponowano mu posadę premiera Libanu, ale wykpił się, że ma za dużo zajęć. Stał na czele Renault, Nissana i od niedawna także Mitsubishi; połączone – również tym personalnym – sojuszem, razem produkowały pod sterami Ghosna największej samochodów na świecie. Libańczyk z pochodzenia, wychowany w Brazylii, raczej z nizin, karierę rozpoczął we Francji w oponach Michelin. Później „mordował koszty” w Renault: zamykał fabryki, zwalniał, upraszczał struktury. Tę metodę zastosował 20 lat temu w Jokohamie, kiedy Renault pospieszył na pomoc upadającemu Nissanowi. A on, jako wielokulturowiec, potrafił pogodzić dwie całkowicie odrębne (i wrogie



sobie) kultury korporacyjne. Z czasem z tym aliansem był już całkowicie utożsamiany i stał się władcą udziałowym wielkiego globalnego królestwa.

Rodzaj zarzutów, jakie mu postawiono, też wprawiał w zdziwienie: miał zataić połowę swoich zarobków (w ciągu 5 lat od 2010 r. podliczonych na 68 mln dol.) oraz wykorzystywać fundusze firmy na cele prywatne (np. 4 domy w różnych częściach świata). Choć akurat niechęć do płacenia podatków to w tych kręgach nie pierwszyzna. Informacja o nieprawidłowościach wyszła z samego Nissana (nowe prawo w nagrodę uwalnia whistleblowerów, sygnalistę, od grożącej mu odpowiedzialności).

Co z kolei szybko umocniło teorię, że Japończycy zmontowali ten przewrót, aby pozbyc się nie tylko Ghosna, ale i Francuzów, którzy prędzej czy później chcieli Japończyków połknąć.

Renault ma decydujące 43 proc. udziałów w Nissanie, a Nissan u kolegi – 15 proc., bez prawa głosu. Tymczasem to Nissan jest w tym związku finansową lokomotywą. Emmanuel Macron, jeszcze jako minister gospodarki i przemysłu, umacniał udział państwa w Renault i nigdy nie krył ambicji dotyczących wykupienia Japończyków. Zresztą nad Sekwaną spokojnie zareagowano na kryzys: w Renault Ghosn został jedynie zawieszony (choć Francuzi w radzie nadzorczej Nissana głosowali za jego dymisją). Gdyby miało dojść do rzeczowego rozwodu, sytuacja może przypominać doświadczenie z brexitem: im więcej szczegółów do ustalenia, tym większa świadomość strat i zagrożeń. Choć cała trójka od Ghosna produkuje w dziedzinie samochodów elektrycznych, których był gorącym orędownikiem, czasy dla branży znów są bardzo trudne. Wkrótce się okaże, czy Ghosn był jedynym spoiwem tego związku.

Brexit: cztery scenariusze

Nie ma się z czego cieszyć – powiedział szef Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker, gdy w niedzielę Rada Europejska jednogłośnie zatwierdziła porozumienie o wyjściu Wielkiej Brytanii z Unii. W sumie jednak Unia postawiła na swoim: Wielka Brytania de facto pozostanie jej członkiem, tyle że bez prawa głosu, co najmniej do końca 2020 r. A być może dłużej, co również zależy bardziej od Brukseli niż od Londynu. Teraz porozumienie muszą zatwierdzić dwa parlamenty: europejski, co będzie formalnością z wyżej wymienionych powodów, i brytyjski, co na dziś wydaje się niemożliwe, bo nie podoba się ono ani twardym zwolennikom brexitu, ani twardym jego przeciwnikom. Premier Theresie May potrzebne jest przynajmniej 320 na 650 głosów. Jej koalicja ma 326 szabel, ale już wiadomo, że przeciw zgłasza 10 posłów z Ulsteru, bo widzą w porozumieniu pierwszy krok do oderwania ich prowincji od korony. Podobnie zgłasza niemal na pewno 40 posłów Partii Konserwatywnej i większość laburzystów.

Jeśli porozumienie przepadnie w brytyjskim parlamencie (głosowanie prawdopodobnie 12 grudnia), możliwe są cztery scenariusze. Po pierwsze, symboliczna renegocjacja porozumienia w Brukseli i powtórne głosowanie pod groźbą tzw. twardego brexitu, czyli wyjścia z Unii bez żadnego porozumienia. Po drugie, przyspieszone wybory, ale musieliby się na to zgodzić torysi, co jest mało prawdopodobne, bo mają złe sondaże. Po trzecie, nowy rząd, ale na razie nie ma chętnych, aby zająć miejsce May w obecnym „bagnie”. I wreszcie po czwarte, drugie referendum w sprawie brexitu. Opcja jeszcze do niedawna zupełnie abstrakcyjna. Ale wobec głębokości rzeczono „bagna” coraz popularniejsza. Wiąże się z nią wiele problemów, choćby proceduralnych. Ale w Westminsterze krąży już ponoć zestaw możliwych pytań: Czy jesteś za zaakceptowaniem obecnego porozumienia o wyjściu z Unii? Czy jesteś za twardym brexitem? Czy jesteś za pozostaniem w Unii? Przy czym głosowanie byłoby decydujące tylko wówczas, gdy jedna z opcji uzyskałaby większość bezwzględna. A jeśli nie uzyska? Końca bagna nie widać.

Więcej czytaj na s. 46.

Trzecia płeć

Sąd apelacyjny w Montpellier musiał orzec w skomplikowanej sprawie dziecka osoby transpłciowej: chodziło o ojca dwóch chłopców, który po 10 latach małżeństwa zmienił oficjalnie płeć na żeńską i uzyskał wszelkie potrzebne dokumenty. Zezwalało na to nowe prawo, które akceptuje małżeństwo osób tej samej płci. Ojciec, nazwijmy go Bernard, nie poddał się jednak żadnej operacji chirurgicznej i dalej wiódł życie w tym samym małżeństwie, tyle że jako Maria. Kiedy urodziło się kolejne dziecko, urzędnicy stanu cywilnego odmówili w rubryce „ojciec” wpisania Marii, zwracając uwagę, że – poza wypadkami adopcji – nie można mieć dwu matek i żadnego ojca. Ostatecznie do metryki zamiast „ojciec” wpisano termin „rodzic biologiczny”.

Ta sprawa zakończyła się więc bezkonfliktowo, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych nasilają się plotki, iż ekipa prezydenta Trumpa przygotowuje zmiany ustawowe uniemożliwiające prawną zmianę płci raz określonej w akcie urodzenia. Środowiska osób „trans” obawiają się dyskryminacji w dostępie do edukacji, świadczeń społecznych i zdrowotnych. „Osoby trans będą dalej istniały niezależnie od tego, jaką rząd przyjmie definicję płci, nie można ich przecież wymazać” – napisała kanadyjska poetka Gwen Benaway. Tymczasem o wymazaniu nie ma mowy, w każdym razie nie w świecie popkultury. W zeszłym tygodniu triumfowała na koncertach w Londynie francuska piosenkarka i autorka Héloïse Letissier, znana w świecie artystycznym jako „Christine and the Queens”, prezentując bohaterkę transpłciową. Prawnicy nie nadążają za światem popkultury.

Albatros travel

Skandynawska jakość od 1986 r.

Polski pilot | Małe grupy | Bilety wstępów w cenie



13 DNI



Namibia okiem Albatrosa

Fascynująca podróż przez wciąż zmieniające się krajobrazy od najwyższych wydm świata po ekscytujące safari w parku Etosha

Wylot: 09/04 2019

11 998 zł

Program wycieczki: Dz. 1. Wylot z Warszawy do Windhoek w Namibii. Dz. 2. Przyjazd do Windhoek. Zwiedzanie miasta i powitalna kolacja. Dz. 3. Przejazd z Windhoek do Sesriem. Dz. 4. Wizyta w Parku Narodowym Namib-Naukluft. Wydmy Sossusvlei i kanion Sesriem. Dz. 5. Wizyta w Parku Narodowym Namib-Naukluft – Swakopmund. Dz. 6. Swakopmund. Rejs po lagunie Walvis Bay i czas wolny. Dz. 7. Dzień wolny w Swakopmund. Dz. 8. Swakopmund – Kamanjab. Z wizytą w wiosce plemienia Himba. Dz. 9. Przygoda na safari w Parku Narodowym Etosha. Dz. 10. Safari w Parku Narodowym Etosha. Dz. 11. Safari w Parku Narodowym Etosha. Pożegnalna kolacja w Otjiwarongo. Dz. 12. Otjiwarongo – Windhoek. Wylot do Warszawy. Dz. 13. Przyjazd do Warszawy

8 DNI



Carska Rosja

Poznaj dwa największe miasta Rosji – Moskwę i Sankt Petersburg – wybierając się w klasyczną podróż w głąb historii, od Placu Czerwonego po Pałac Zimowy

Hotele 4*

Wylot: 11/05, 03/09 i 17/09 2019

od 4 998 zł

Program wycieczki: Dz. 1. Wylot z Warszawy do Moskwy. Zakwaterowanie w hotelu. Dz. 2. Moskwa. Spacer po dzielnicy Zamoszkworieczje, Wzgórza Worobiowe, Plac Czerwony i Sobór Chrystusa Zbawiciela. Dz. 3. Moskwa. Zwiedzanie Kremla, Zbrojowni kremlowskiej, przejazd moskiewskim metrem. Dz. 4. Moskwa. Rosyjskie muzeum sztuki plastycznej: Państwowa Galeria Tretiakowska. Nocny pociąg „Grand Express” do Sankt Petersburga. Dz. 5. Przyjazd do Sankt Petersburga. Zwiedzanie miasta – w tym Twierdzy Pietropawłowskiej. Dz. 6. Sankt Petersburg. Pałac Zimowy/ Państwowe Muzeum Ermitażu i czas wolny. Dz. 7. Sankt Petersburg. Zwiedzanie Carskiego Siata i Bursztynowej Komnaty oraz Peterhofu. Dz. 8. Wylot z St. Petersburga do Warszawy

Cena zawiera: opiekę polskiego pilota, przelot rejsowy z Warszawy, zakwaterowanie w pokojach 2-osobowych, wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe oraz bilety wstępów.

Rezerwacja +48 22 128 48 81

Adres: Warszawa ul. Marszałkowska 74

albatros.pl

Kod reklamy: PL26



Kabociorz

Wojciech Kałuża, kandydat Koalicji Obywatelskiej z miasta Żory, dostał się z pierwszego miejsca na liście do sejmiku śląskiego. Natychmiast potem głosy ponad 25 tys. wyborców oddał Prawu i Sprawiedliwości. W zamian ma dobrą posadę i parę niejasnych obietnic.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Wojciech Kałuża jest teraz sławny na całą Polskę. Jednak to taki rodzaj popularności, który nie pozwala bohaterowi mieszkać we własnym domu. Sąsiedzi Kałuży mówią, że nie widzieli jego samochodu dokładnie od dnia, w którym ukradł ich głosy. Dom na żorskich przedmieściach stoi za wysoką bramą, cichy i nieopalany. Pani Kałużowa czasem przyjeżdża z dwójką dzieci. Jest milcząca, a ludzie też o nic nie pytają, tylko patrzą. To przez wzgląd na dzieci – dwulatkę i dwumiesięczniaka.

Tymczasem w każdej kolejce, w każdym sklepie w Żorach najcieplejsze słowa o Kałuży to „ciul”, „kradziok” i „kabociorz” (zdrajca). Inne określenia bohatera nie nadają się do gazet. Podobnie jest w Rybniku i Wodzisławiu – tam też na niego głosowali.

Dom – duży, z gankiem w stylu staropolskim, kolumniowym – zbudowany jest za franki szwajcarskie, które należy zwrócić bankowi wraz z odsetkami. Wciąż wymaga wykończenia. Kałużowie mieli ciężko – ona zatrudniona na nie najwyższym stanowisku w państwowej Jastrzębskiej Spółce Węglowej;



Na pierwszej sesji sejmiku śląskiego po wyborach okazało się, że radny KO Wojciech Kałuża przeszedł do PiS przy aplauzie jednych i okrzykach oburzenia innych radnych.

© DAVID MARKSZYDZTOR.NET

on ambitny, z obiecująco rozpoczętą karierą polityczną, pałętał się przez ostatnie lata po niskich funkcjach w samorządzie. Dodatkowo dwoje małych dzieci – ogrom kosztów. Jako wiceprezydent Żor Kałuża wystartował w przedostatnich wyborach przeciwko przełożonemu, przegrał politycznie wypadł na aut. Od tego czasu wydawało się, że jest skończony. To wtedy – jak mówią w Żorach – przemienił się fizycznie w „grubego działacza”. Ale walczył o uwagę – w gazetach opowiadał, że „aktywnie szuka pracy”. Można go też było zobaczyć w internecie, jak zgodnie z ówczesną modą światową wylewa sobie na głowę kubeł lodowatej wody. Ostatecznie osiadł zawodowo w firmie Rolka-Lody z Żor handlującej maszynami dla branży lodziarskiej. Odrodził się przy okazji ostatnich wyborów, od razu jako „jedyńka” z listy KO.

Obecnie od kilku dni należy zwracać się do Wojciecha Kałuży „panie wicemarszałku województwa śląskiego”. Stanowisko otrzymał od PiS w rozliczeniu za sprzedaż 25 tys. głosów wyborczych, które ugrał na konto konkurencji. W offsecie umowy PiS z Kałużą ma być także – mówią śląscy politycy opozycyjni – awans żony w strukturze JSW. Najbliżsi znajomi Kałuży ironizują, że Wojtek był z nimi szczery do końca, bo najwyraźniej liczył na zrozumienie: „teraz jestem ustawiony na resztę życia”, miał powiedzieć jednemu z kolegów z KO. – *Tę zamożność*

będzie można poznać po postępach w wykańczaniu domu Kałużów – mówi ten kolega.

Przekręcony Najpierwsze zetknięcie ogólnopolskiej opinii publicznej z Wojciechem Kałużą miało miejsce w środę 21 listopada 2018 r. – na ekranie telewizora krępy, pyzaty mężczyzna w szarym garniturze szczelnie otoczony nowymi kolegami z PiS. Pod jego adresem część sali obrad sejmiku śląskiego krzyczy „hańba” i „zdradca” – właśnie okazało się, że Kałuża, dotychczas członek Nowoczesnej, przeszedł na stronę przeciwnika, czym zapewnił PiS władzę w całym województwie. Kałuża, lat 38, ma wtedy lzy w oczach. Część znajomych mówi nawet, że „wyglądał na złamanego moralnie”. – *Ale to tylko na początku tak wyglądało* – mówi Grzegorz Wolnik z PO, radny sejmiku śląskiego, który w kampanii występował na jednym plakacie z Kałużą, a teraz za to przeprasza. – *W trakcie obrad Wojtek nabrał buty, stał się pewny siebie i uśmiechał się.*

Można powiedzieć, mówią anonimowo jego dawni znajomi z KO, że kradzież głosów wyborczych to przekręt klasycznie polski, bo w ten sam sposób w Opolu w 2006 r. dostał się w orbitę partii władzy Patryk Jaki, obecny wiceminister sprawiedliwości i przegrany kandydat na prezydenta stolicy. Jednak jego przejście z PO, z której list wybrano go na radnego miasta, do PiS nie miało natychmiastowego skutku politycznego dla kraju. A Kałuża zatrzęsł od razu i Śląskiem, i całą Polską. Droga Jakiego meandrowała: młodzieżówka PiS, potem PO, potem znów PiS. Droga Kałuży zdumiewała: z krwiożerczego pisożercy od razu do prominenta PiS.

Jak mówi Monika Rosa, posłanka, szefowa śląskiej N, w psioczeniu na PiS Wojtek nie miał sobie równych. Dosłownie zapędział się w kłótwach. W ostatniej kampanii mówił, że nie zgadza się na zawiadywanie krajem z Nowogrodzkiej; że PiS knebluje samorządy, chcąc skupić całą władzę w ręce prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Przez ostatnie miesiące Kałuża z zapalem jeździł po Śląsku naruszać spokój przedwyborczych spotkań piskowskich. Nie było żadnych znaków, mówi Rosa, że ten charakterny śląski chłop może zdradzić. – *W Wodzisławiu na spotkaniu z Andrzejem Dudą krzyczał do prezydenta na całe gardło per „ty ch...”* – mówią znajomi Kałuży z centrum Żor, sąsiedzi jego rodziców. – *Aż nam się głupio robiło, że Wojtek taki ostry, bo w końcu Duda to prezydent Polski.*

Po zdobyciu nagłej sławy w poprzednią środę Wojciech Kałuża z Żor przestał odbierać telefony i odpowiadać na esemesy. Ta dotychczas tak skora do pogaduch przy piwie dusza towarzysztwa, jak mówią o nim byli koledzy polityczni, ten strateg polityczny i mistrz zwykłych „gadec”, jako wicemarszałek województwa zniknął, żeby przeczeć burzę. Ale jako celebryta nie mógł liczyć na to, że jego życie pozostanie prywatne. W czwartek i piątek był już na dłoni opinii publicznej – cały mieścił się w kilku zdaniach. – *Przedstawiono mi pana Kałużę jako 22-latka, PO rekomendowała go jako prężnego, zdolnego organizatora, który może poprowadzić moje biuro i całą kampanię do sejmiku śląskiego* – wspomina Maria Pańczyk-Pozdziej, senator PO. Jan Olbrycht, europoseł z PO, dodaje: – *Przed 14 laty pan Kałuża był szefem mojego biura senatorskiego w Tarnowskich Górach, zatrudnionym na ćwierć etatu. Wtedy przez dwa lata widziałem się z nim zaledwie kilka razy. Nigdy nie był moim asystentem, jak dziś podają niektóre media. Zapamiętałem go jako pocziwca.*

Później – jak mówią oboje – ich kontakt z Kałużą urwał się i znikł. Wiedzieli, że robi karierę polityczną w samorządzie, że jest wierny swoim przekonaniom politycznym, bo nie opuszcza PO. Na szczytach władzy, jeśli był wspominany, to jako „honorny” chłop ze Śląska. Na dołach władzy – w kręgach samorządowych – ten jego spójny obraz sypał się przez ostatnie lata. Koledzy z KO przyznają, że teraz dostrzegają kilka znaków, po których należałoby się Wojtkę wystrzągać. Pierwszym sygnałem politycznej ►

► nerwowości Wojtka była jego zadra z prezydentem Żor Waldemarem Sochą. Kałuża zaplątał się w bratobójcze żorskie wojny polityczne, grał brudno i przegrywał, więc miał żal do całego świata.

Człowiek z ambicją – *Za bajtla [dzieciaka] Wojtuś był chachar [łobuziak]* – wspomina wicemarszałka Kałużę z uśmiechem jego kolega z gimnazjum. Akurat ten kolega uważa, że Wojtek nie zrobił nic aż tak złego, zmieniając barwy polityczne tuż po wyborach. Bo wiadomo: dziś być uczciwym się nie opłaca, jak mówi, każdy tylko patrzy na pieniądze. A Wojtuś miał długi, bo dom wybudował.

Dzieciństwo miał normalne jak na Żory w latach 80.: nie przelewało się, ojciec pracownik wodociągów miejskich, matka pielęgniarka w szpitalu psychiatrycznym w Rybniku. Jak mówi kolega z gimnazjum, „w szkole ani nie był za głupi, ani za mądry, założył komputerową firemkę w Żorach, ale to mu nie szło i zwąchał, że jest niezły geld [pieniądz] w polityce”. A potem jeździł do Warszawy studiować prawo. W każdym razie mierzył wysoko i „czuć go było ambicją”. Zawsze dumnie podkreślał, że jest Ślążakiem i żorzaninem od kilku pokoleń. Chciał nawet rejestracji „ślonskiej godki” jako języka mniejszości. Wstępując do PiS, pogrzebał te starania – wielu Ślązaków ma mu to za złe.

Wojciech Kałuża przez sześć lat był wiceprezydentem Żor. Nagle, w 2014 r., okazało się, że próbuje zająć miejsce prezydenta Sochy. Dla Żor była to sytuacja dziwna – Socha, wywodzący się jeszcze z Unii Wolności, zyskał nagle kontrkandydata w Kałużę, który należał do PO.

Lokalne media zapełniły się sensacyjnymi newsami z frontu tej wojny – walczący przypisywali sobie cudze zasługi dla Żor, prezydent publicznie zarzucał zastępcy, że ten drwi sobie z niego podczas spotkań z mieszkańcami miasta. Prezydent Socha musiał też – na skutek donosu – stawić się w CBA, a następnie trafił do sądu z zarzutem skłamania w oświadczeniu majątkowym (ostatecznie został uniewinniony). I Socha, i Kałuża przeszli do drugiej tury wyborów, ale tuż przed nią Socha zwolnił Kałużę z funkcji wiceprezydenta. Wtedy Kałuża osłabł. Na przedwyborczej debacie już się nie pojawił. Wybory miejskie przegrał minimalnie, o 889 głosów. A od listopada 2014 r., jako zwykły radny, Kałuża zasłynął w Żorach jako rekordzista w interpelacjach do Sochy. Można rzec, że działał na rzecz miasta – jak mówi jeden z radnych – Kałuża „czynił Sochę winnym każdej dziury w chodniku”.

W tym czasie Wojciech Kałuża odszedł z PO i – jak dziś to widzą jego dawni koledzy – był to pierwszy dzwonek ostrzegawczy. – *Odszedł bez słowa, dosłownie jakby ktoś na nas mocz oddał z wieży ratuszowej* – mówi jeden z członków śląskiej PO. Ale nie odszedł daleko, bo wkrótce zmateriałizował się w Nowoczesnej. Z jej list startował w 2015 r. do Sejmu – bezskutecznie. Wycofał się, to wtedy zaczął się jako udziałowiec w małej firmie lodziarskiej, która ma siedzibę (dwa pokoje) w starym biurowcu na przedmieściach. Z zeznania majątkowego Kałuża za 2017 r. – w firmie zarobił 39 tys. zł, kredytu mają z żoną ponad 106 tys. franków do spłaty. Kałuża, prawnik, napisał „oprocętowanie”.

W 2018 r. Wojciech Kałuża ponownie wypłynął na polityczne wody. Na konwencji KO w maju Borys Budka, szef śląskiej PO, przedstawił go jako twardego chłopca, strażaka-ochotnika i judokę – kandydata na prezydenta Żor. Sam Kałuża mówił, że cztery lata temu obiecał sobie, że nie będzie już kandydować „choćby go kołem łamali”. Ale, dodał, wiele się zmieniło – ma małą córeczkę, we wrześniu spodziewają się z żoną synka. Uniósł ręce w teatralnym geście: – To są czyste ręce gotowe do pracy – powiedział.

Na kilkanaście minut przed zamknięciem list zrobiono dla Kałuży miejsce wstawiające go na „jedynekę” za pomocą esemesa z zarządu regionu Nowoczesnej.

Dla żorzan było jasne, że Kałuża wraca do zadawnionej wojny z prezydentem Sochą. Wkrótce ogłosił, że się wycofuje – to był drugi dzwonek ostrzegawczy. – *Wycofanie się nie było jego decyzją* – mówi jeden z dobrych znajomych Kałuży, członek PO. – *Wojtkowi po prostu nie udało się skleić listy wyborczej. Potrzebował 30 osób, a miał 11. No to w tym momencie miał posprzątać.*

Kilka dni przed wyborami samorządowymi 2018 r. Wojciech Kałuża niespodziewanie pojawił się na listach wyborczych jako „jedyneką” KO z Żor. To było jak nagły awans – trzeci dzwonek alarmowy.

Zrobiono dla Kałuży miejsce w ostatniej chwili, za pomocą esemesa zarządu regionu N, na kilkanaście minut przed zamknięciem list skreślając z nich Bartłomieja Gabryśia, członka N, wykładowcę na Uniwersytecie Ekonomicznym. – *Może trzeba było wtedy gdzieś zadzwonić, powiedzieć, że coś ten chłop za często zmienia zdanie?* – zastanawia się jeden z radnych KO. – *Ale na żadne ustalenia już nie było czasu. Tyle lat się Wojtka znało, nie wyglądało, że może zrobić nas w ciula.*

Wychodzi to, że jedynym człowiekiem z KO trzeźwo orientującym się wówczas w sytuacji był Bartłomiej Gabryś. Nie znał Kałuży wcześniej, ale nawet z pobieżnej analizy jego kariery w samorządzie, licznych wolt i niepowodzeń można było wywnioskować, że jest niepewnym ogniwem – jedynie z jakiegoś powodu lansowanym przez zarząd regionu. – *Wyrażałem swoje daleko idące niezrozumienie* – podsumowuje dziś dyplomatycznie Gabryś.

Wicemarszałek W środę Polska dowiedziała się, że za sprawą Kałuży na Śląsku jednak rządzi PiS. Ale w śląskiej polityce już wtorek mieli dramatyczny, jak w filmie sensacyjnym. Już było jasne, że Wojtek jest odwrócony – mówią ludzie z KO. Nie odbierał telefonów, a jeśli odebrał, mruczał monosylabowo. Wreszcie się przyznał – idzie do PiS. W KO zawrzało. Dzwonili do Kałuży jego wieloletni znajomi. Nawet senator Maria Pańczyk-Pozdziej wysłała mu esemesa. – *To był taki matczyzny w treści esemes* – mówi. – *Że Wojtek, zastanów się, co zyskujesz, a co tracisz. Ale odpowiedź nie było.* Maciej Kolon, śląski działacz PO, radny sejmiku, opowiada, że we wtorek pojawiał się u Kałuży w Żorach kilka razy – ostatni raz o godz. 21. Zadzwonił, stojąc pod jego domem, Wojtek odebrał. – *Powiedziałem mu: Wojtek, jak przejdiesz, zniszczysz zaufanie ludzi do siebie, daj propozycję, spotkamy się, powiesz, jak to widzisz. „Wywieźli mnie”, miał odpowiedzieć Kałuża. Już tej nocy nie spędził w domu.*

Odebrał telefon jeszcze raz, o 6 rano w środę. Usłyszał wprost: chcesz być marszałkiem? Osoba z KO, która dzwoniła, opowiada, że wyczuła u Kałuży „dwukurs” – był i zastraszone, i pewny siebie. Potem widzieli się jeszcze raz na korytarzu sejmiku. Kałuża siedł szczerze odgradzony ludźmi z PiS, wyglądało to tak, jakby prowadzili więźnia. – *Dotknąłem jego ramienia i powiedziałem: patrz, Wojtuś, jak cię otoczyli* – opowiada dawny kolega z KO. – *Wiem, odpowiedział mi. Miał oczy pełne łez.*

W niedzielę był wiec na żorskim rynku – przyszło kilkadziesiąt osób. Mieszkańcy miasta wchodzili na małe podwyższenie z płyty pilśniowej i mówili o Kałuży. Najdramatyczniej zabrzmiała siwa pani, która przedstawiła się jako zwykła mieszkanka Żor. Mówiła: – *Nie znałam ludzi z list KO, ale wydawało mi się, że jeżeli ktoś ma nr 1 na liście, jest człowiekiem największego zaufania. Ja się budzę rano i ja się dowiaduję, że głosując na pana Kałużę, ja zagłosowałam na PiS. Wytrącono mi z ręki ostatnią broń zwykłego człowieka – mój głos w wyborach.*

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Korzystałem z materiałów archiwalnych portalu tuzory.pl.